

LIRA  
WYDAWNICTWO

EWA  
SOBIENIEWSKA

# Nocny swelon

*Kiedy tajemnice wychodzą na jaw,  
kobieta musi mieć odwagę,  
by się z nimi zmierzyć...*

*Nocny  
welon*



EWA  
SOBIENIEWSKA

*Nocny  
welon*

LIRA  
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2025

ISBN: 978-83-68342-23-9

*Alicji i Krzysztofowi Choińskim*

## **SAGA WILEŃSKA**

*Srebrne wrzeciono*

*Zakłęte zwierciadło*

*Czarna sukienka*

*Nocny welon*

*On wojuje — rok upłynął,  
On nie wraca — może zginął.  
Panno, szkoda młodych lat,  
Od Książęcia jedzie swat.  
Książę ucztuje we dworze,  
A Panna płacze w komorze.  
Adam Mickiewicz, Ucieczka*





# ROZDZIAŁ 1

*LITWA, ZIELNA, STYCZEŃ 1868 ROKU*

Gdy kończy się jeden świat, zaczyna się jakiś kolejny, tylko czemuż taki znojny — rozmyślała Wiktoria Łempicka, wracając konno do dworu. Mrok wypełzał spomiędzy drzew, kładł się pod kopyta klaczy i przypominał szarej godzinie, że czas ustąpić miejsca nocy. Śnieg ściśnięty niemilosierdnym mrozem skrzypiał głośno, zupełnie jakby skarżył się na trudy niepogody.

Dobre i spokojne życie pani na Zielnej skończyło się przed czterema laty wraz ze śmiercią ukochanego męża. Długo zdawało się jej, że strata poczyniła zbyt wielkie szkody, aby cokolwiek mogło zakwitnąć na gruzach. Czas pokazał, że rozpacz, chociaż ciężka, niewygodna i raniąca, jest do udźwignięcia; że to towarzyszka niewdzięczna i niemile widziana, ale za to pozwalająca w dwójnasób doceniać każdą spokojną chwilę. Najtrudniej było w święta, dlatego Wiktoria cieszyła się, kiedy mijało Boże Narodzenie, ten uporczywy bezruch i pozornie pogodny nastrój, który nie miał nic wspólnego z prawdziwą radością, za to przypominał, że kiedyś było lepiej, piękniej, jaśniej, że dawniej istniała inna rzeczywistość, wypielegnowana i dobra — teraz poszarpana okrutnie i bez litości przez powstańczą zawieruchę. Wiktoria już dawno zrobiła podział — dni są dla synów i dla Zielnej, dla obowiązków i dla planów na przyszłość, dla męża zaś zostawiała noc. Wtedy to oddawała się wspomnieniom, zwierzała się Ksaweremu ze zmartwień i wszystkich

spraw zaprzętających jej głowę. Wierzyła, że gdziekolwiek jest, słyży ją, wspiera i na swój sposób wciąż przy niej trwa. Nigdy nie myślała o sobie jako o wdowie. Oburzała się w duchu, gdy ktoś ją tak nazywał. O nie! Wciąż była żoną. Żoną!

Minęła gazon, podjechała pod ganek i przekazawszy uzdę stajennemu, weszła do domu.

— Co za ziąb — rzekła na głos, kiedy służący odbierał od niej futrzany płaszcz.

— Proszę pani, proszę pani — usłyszała za sobą głos Rozalii.

— No co tam?

— Ma pani gościa. Jaśnie pan Tułasiewicz przyjechał. Czeka w sarmackim salonie.

Wiktoria zrobiła zniecierpliwioną minę. Ściągnęła kapelusz, rękawiczki i przygładziła włosy, zastanawiając się, czy suknia, którą ma na sobie, jest wystarczająco eleganczka, aby pokazać się w niej sąsiadowi.

— Podałaś herbatę?

— Tak, proszę pani — odparła Rozalia, po czym dodała ściszym głosem, oglądając się trwożnie za siebie. — Coś mi się widzi, że to nie jest zwykła wizyta. Jaśnie pan taki wytworny.

— No, zobaczymy, co go sprowadza. Podaj, proszę, i mnie herbatę. Zmarzłam trochę — dodała, wierzchem dłoni dotykając policzków. — Maurycy w domu?

— Poszedł do wsi, proszę pani.

— Nie lubię, gdy tak znika — zdenerwowała się Wiktoria.

Miała nadzieję, że Tułasiewicz nie zabawi długo. Do tej pory nie zdarzyło się, żeby zostawał na kolacji. W ostatnich latach odwiedził Zielną zaledwie trzy czy cztery razy,

ot — sąsiedzka kurtuzja, mająca na celu podtrzymanie wątlej nici dawnej przyjaźni.

— Dobry wieczór — przywitała się, wchodząc do salonu. Ciepło kominka wypełniało cały pokój i zapraszało do ukojenia po mrozie i znoju. — Proszę wybaczyć, że nie było mnie na miejscu, aby pana powitać.

— Rutynowy objazd po majątku? — podsunął mężczyzna, całując wyciągniętą dłoń.

— Tak. — Wiktoria zajęła miejsce na sofie, jej gość z powrotem opadł na fotel. Zwróciła uwagę na ciemny, szykowny surdut, białą koszulę i fular ozdobiony szpilką ze szmaragdem. Tułasiewicz był w wieku jej szwagra Michała z Łempic, przekroczył sześćdziesiątkę, ale wyglądał znacznie młodziej. Nie zapuszczał zarostu, a w jasnych włosach siwizna nie rzucała się aż tak bardzo w oczy.

— Czy święta minęły pani spokojnie?

— Dziękuję, owszem.

— Jakież płótno szykuje pani teraz?

— Nie maluję już. — Zaraz jednak dodała tonem usprawiedliwienia: — Chyba straciłam do tego zapal.

— Starszy syn w szkole?

— Zgadza się, zaraz na początku stycznia wrócił do Wilna.

— A panicz Maurycy zdaje się, że kończy nauki w domu?

— We wrześniu dołączy do Ignasia — przyznała, zastanawiając się, do czego mierza jej gość. — Mam nadzieję, że zdrowie panu dopisuje?

— Chwała Bogu, nie mogę narzekać. — Zaplótł dłonie, chrząknął raz i drugi. — Pani Wiktorio, pozwoliłem sobie panią niepokoić, bo... No cóż, tak sobie

pomyślałem... — Odruchowo otarł czoło z potu. — To już dwa lata, jak zmarła moja żona. Córki od dawna są zamężne, a ja... — Spuścił wzrok. — A pani... Sądzę, że nam obojgu nie jest łatwo znosić samotność. Może los tak chce, aby nasze rodziny znów się połączyły...

Wiktoria zamarła, oburzona tym, co jeszcze nie wybrzmiało, a już budziło jej zdecydowany sprzeciw.

— Powiem wprost: będę zaszczycony i szczęśliwy, jeśli zgodzi się pani dzielić ze mną życie.

Ogień parskał w palenisku, jakby obśmiewał te niefortunne oświadczenia. Wiktoria, zmarszczywszy czoło, zacisnęła wargi, by powstrzymać ostre słowa. Jak on śmie? Jak śmie?! Jak mógł pomyśleć, że ona mogłaby, że chciałaby... Poczwała do niego awersję, która ścisnęła żołądek, powodując mdłości.

— Zdaję sobie sprawę, że nie jestem młodzikim. — Mężczyzna postanowił przerwać niezręczną ciszę. — Zapewniam jednak, że przy mnie byłaby pani bezpieczna, będę też dobry dla pani synów i...

— Proszę przestać — zaprotestowała szorstko, podnosząc się z sofy. Wiedziała, że powinna podziękować, zadbać o swojego gościa, by nie poczuł się urażony, ale zuchwała propozycja wyprowadziła ją z równowagi. — Najlepiej będzie, jeśli zakończymy tę rozmowę i oszczędzimy sobie przykrości.

Tułasiewicz także się podniósł, szarpiąc nerwowo za wiązanie fularu.

— Nie było moim zamiarem, aby sprawić pani przykrość — zaczął chłodno, ale ściągnięte brwi i surowy grymas zdradzały wzburzenie. — Przeciwnie. Przez wzgląd na pamięć o moim przyjacielu, chciałem pomóc jego żonie, która, od kiedy została sama...

— Mógł pan pomóc pięć lat temu, ale wtedy jakoś nie myślał pan o moim mężu.

— On nie czynił mi wyrzutów — skwitował krótko, łapiąc głęboki wdech. Słowa te ubodły go mocno i nie potrafił się z tym kryć. — Uszanował mą decyzję i tego samego oczekiwałbym od pani.

Wiktoria, ochłonąwszy nieco, przemówiła, tym razem spokojniej:

— Racja. Pańskie wybory i decyzje to nie moja rzecz.

Stali naprzeciw siebie w uciążliwym milczeniu i niechęci.

— Czy mam rozumieć, że pani odrzuca moją... hm... propozycję?

— Właśnie tak.

— A mógłbym poznać powody?

Rzuciła mu rozszluzzone spojrzenie. Czy naprawdę musi mu tłumaczyć? Dawniej nawet go lubiła. Szanowała i ceniła też jego żonę — skromną, cichą, schorowaną, żyjącą w cieniu męża i swych licznych dolegliwości. Serdeczne relacje skończyły się wraz z wybuchem powstania, w którym Tułasiewicz nie wziął udziału.

— Powody są chyba aż nadto oczywiste — odparła Wiktoria.

— Ach tak... Uważa pani, że nie jestem jej godny.

— Uważam, że nie istnieje powód, dla którego miałabym... — Wzięła głęboki wdech. — Jestem żoną Ksawerego i to się nie zmieni. Przykro mi, jeśli zawiodłam pańskie nadzieje. — Po chwili dodała pojednawczo: — Spodziewam się jednak, że dalej pozostaniemy w sąsiedzkiej przyjaźni.

— Przyjaźni? Rad bym z całej duszy, jednakże w przyjaźni ważna jest szczerłość, a jak widzę, o to będzie trudno. — Ukłonił się, po czym ruszył do drzwi.

— Naprawdę mi przykro — zawołała za nim.  
— Mnie również. Sądziłem, że pogłoski okażą się tylko pogłoskami, ale niestety — odparł, odwracając się ku niej.  
— Nie rozumiem.  
— Ja nie jestem godzien, by zająć miejsce pani męża, ale ubogi rządcą już tak?

— Słucham?!  
Tułasiewicz opanował się, raz jeszcze skłonił głowę.  
— Życzę pani dobrze i jeśli taka pani wola, uszanuję ją. Spokojnej nocy.

Nie odprowadziła go. Została w salonie, zawieszona między niechęcią, zdziwieniem i smutkiem.

Odruchowo potarła obrączkę na palcu i zapatrzyła się w okno. Rządy objęła noc. Naraz ogarnęła ją dziwna tęsknota, żeby tak rozpląnąć się w tej ciemności, zrzucić z siebie ciężar i niewygodę, zrzucić czarną suknię, która wżarła się w ciało i od której nie mogła się uwolnić.

— Herbatę przyniosłam, proszę pani. — Do salonu weszła Rozalia z tacą opartą na wydatnym brzuchu. Z wiekiem garderobiana zaokrągliła się jeszcze bardziej. — Jaśnie pan Tułasiewicz pojechał...

— Pojechał. I nie uwierzysz, po co...

Już miała sięgnąć po filiżankę, gdy naraz usłyszała podniesione głosy w holu. Pospieszenie wyszła na korytarz.

— Co się tu dzieje? — zwróciła się do stróża Michejki, który trzymał za kaptotę szarpiącego się chłopca w lichym odzieniu. Obok nich stał Maurycy, z założonymi rękami, złością w oczach i szkarłatną plamą na policzku.

— Proszę jaśnie pani, tych dwóch pobito się za stajnią. I to tak, że ja rozdzielić nie mogłem — mówił Michejko, trzymając mocno niedorostka, który wił się na wszystkie strony, próbując uwolnić ze stalowego uścisku.

— Maurycy! — Popatrzyła na syna z wyrzutem.

— Ja nic nie zrobiłem! To ten cham mnie zaatakował. O, proszę — wskazał policzek — w twarz mnie uderzył. Nie daruję! Na Sybir za to pójdziesz — wysyczał do chudego chłopca.

— A czyj ty jesteś? — Wiktoria obrzuciła wzrokiem za dużą, mocno przechodzoną kapotę, wystrzępione przy nogawkach spodnie oraz stopy obleczone w jakieś gałgany i przewiązane sznurkiem. Młokos nie miał czapki, a jego jasne, postrzępione nie mniej niż nogawki włosy sterczały na wszystkie strony, jakby je mróz usztywnił.

— Od Kardisowej — wtrącił stróż. — Jędrak mu jest. Szło toto ponoć do pana Jurewicza. Tyle udało mi się od niego dowiedzieć. — Mocniej przytrzymał chłopca. — A przestaniesz ty wreszcie rzucać się, czy mam ciebie za ucho złapać!?

— Jak mogłeś, Maurycy? Bić się? Ty?

Najmłodszy Łempicki zadarł wysoko głowę, prezentując zaciętą minę.

Liczył sobie już dwanaście lat i zatracił dziecięcą pucołowatość, powoli robił się wysoki i barczysty.

— Proszę jaśnie pani, nasz panicz chciał, żeby ten tu pokłonił mu się i w rękę go pocałował.

— Jestem tu teraz panem — pospieszył z wyjaśnieniami Maurycy, odchylając futrzany kołnierz od szyi, bo nagle zrobiło mu się gorąco. — A ten cham nie okazał mi szacunku.

Wiktoria na moment zacisnęła powieki, czując się tak, jakby każde słowo syna było ciosem. Nie pojmowała, skąd u niego buta i pogarda wobec ludzi niższego stanu, ta wstrętna pycha, którą manifestował wobec słabszych od siebie. Czasami nie poznawała własnego dziecka.



— Uderzyłeś panicza? — spytała Jędrka.

Chłopiec spojrział na nią swymi ogromnymi, ciemnymi oczami, z których wyzierał strach, i w końcu przestał się szarpać, zupełnie jakby pogodził się z losem i z tym, że czeka go kara.

— Ja nie chciałem, ale jak mnie panicz powalili, to... — Otarłem rękawem twarz. — To się odwinęło... jakoś tak.

— Zanim go Michejko wychłoscze, ma mnie przeprosić! — powiedział stanowczo Maurycy, rozpinając kozuch.

— Możecie mnie zabić, a i tak nie przeproszę — zawołał Jędrak.

Wiktoria wstrzymała oddech. Dziwne wzruszenie osiadło jej na piersi. W tym wychudzonym, przestraszonym, a jednocześnie hardym dziecku zobaczyła siebie — dziewczynkę, która przed laty toczyła nierówny bój z ojczymem.

Pokręciła głową i skinęła na Rozalię.

— Zabierz, proszę, chłopca do kuchni, niech coś zje i rozgrzeje się. A ty — zwróciła się do syna — chodź ze mną. Musimy porozmawiać.

Maurycy nic nie rzekł, ale sposób, w jaki szedł, w jaki patrzył, w jaki ścisnął zdjęty z szyi szalik dobitnie pokazywał, że wściekłość jego nie zna granic.

— Nie życzę sobie, żebyś w ten sposób traktował ludzi w majątku — oświadczyła Wiktoria, zamknąwszy drzwi salonu. — I żebyś się bił jak pospolity łobuz. Tak nie może postępować Łempicki.

— Obraził mnie. Nie uklonił się i nie chciał tego zrobić, choć mu kazałem — tłumaczył Maurycy ze wzrokiem wbitym w podłogę, pocąc się w kozuchu.

— Ach, więc uważasz, że posłuch zdobywa się pięścią, tak? Twojego ojca szanowali, a nigdy nie użył wobec włościan bata. Tyle przebywałeś z kuzynem Dominikiem,

stryjem Michałem i panem Bolejką, widziałeś, żeby oni kiedykolwiek kazali sobie czapkować?

— To przecież tradycja, a tradycje się szanuje.

— Człowieka masz szanować.

— Cham to nie człowiek — podsumował krótko.

Wiktoria ponownie zacisnęła powieki, ugodzona tymi słowami. Poczula, jak zbiera jej się na płacz. Gdzie się podział mały, słodki Marcys? Co z niej za matka? Jak wychowała syna, że ledwie odrósł od ziemi, a już staje się niegodziwcem?

— Nie waż się tak nigdy więcej mówić — rzekła spokojnie, wyraźnie akcentując każde słowo. — Ludzie, o których wypowiadasz się z taką pogardą, walczyli ramię w ramię z twoim ojcem. I ginęli, żeby tobie mogło być lepiej. Szkoda, że nie potrafisz tego docenić. Przez tydzień będziesz jadał w kuchni i zapomnij na dłuższy czas o własnym koniu.

— To jak pojedę z kuzynem Dominikiem na polowanie? — spytał łamiącym się głosem.

— Nie będzie polowania. Dopóki nie pojmiesz, co zrobiłeś i co powiedziałaś.

Maurycy powstrzymał łzy, pohamował złość, tylko spojrzeniem zdradzając, jak bardzo czuje się skrzywdzony.

— Czy mogę już odejść?

— Możesz — odparła, patrząc za nim zgnębiona.

\* \* \*

W kuchni bulgotało i wrzało. Ciepło, niczym puchowa pierzyna, otulało wewnątrz przestronnej izby wypełnionej aromatem jabłek pieczonych w maśle i pasztecików z wątróbek.

Jędrzek siedział na końcu prostokątnego stołu i pochłaniał kaszę z kawałkami wieprzowiny. Stukał głośno łyżką o talerz, próbując wybrać strawę do ostatniego ziarenka. Kucharka Wojciechowa pilnowała pieca, tylko od czasu do czasu rzucając okiem na obszarpanego niedorostka.

Gdy do środka weszła Wiktoria, chłopiec szybko złapał kubek z mlekiem i wypił jednym haustem, przekonany, że ten posiłek jak z marzeń zostanie mu zaraz odebrany, jeśli nie zdąży w porę.

— Szedłeś do pana Jurewicza? — spytała, przysiadając na ławie przy stole.

Jędrzek pokiwał energicznie głową. Długa grzywka opadła mu na czoło.

— A po co? — Zapadło milczenie, więc pospieszyła z pomocą. — Nie bój się, powiedz.

— Pani nie każe mnie obić?

Uśmiechnęła się.

— Nie, jeśli obiecasz, że ty sam więcej nie będziesz się bił.

— Ja nie chciałem — westchnął żałośnie. Żył mu było na duszy, ale radośnie na żołądku.

— A dlaczego nie ukloniłeś się paniczowi?

— Nie wiem... — Chłopiec począł wiercić się na krześle, twarz ręką zasłonił. — Tak jakoś... ja nie pomyślałem.

— Ile masz lat? — spytała, zatrzymując spojrzenie na jego spierzchniętych, czerwonych dłoniach.

— Jedenaście. Znaczą latem będzie mi jedenaście.

— I chodzisz do naszej szkoły?

— Jak roboty mniej, to chodzę. Zimą najwięcej.

— I szedłeś do pana Jurewicza, do oficyny, tak?

Jędrrek podniósł na Wiktorię wzrok. Powoli nabierał odwagi i śmiałości.

— No. — Kiwnął głową. — Bo pan nauczyciel książkę miał mi pokazać. Prawdziwą! Z takimi obrazkami ze świata. Chciał mi do domu dać, ale ja poprosił, żeby nie, bo jakby stryjna zobaczyli... No, to pan nauczyciel powiedział, że u niego mogę pooglądać.

Wiktorcia uśmiechnęła się i odruchowo pogłaskała chłopca po rękę, ale on, nienawykły do serdecznych gestów, natychmiast cofnął dłoń, speszony.

— Dokończ jedzenie. Do pana Jurewicza pójdziesz jutro, a dziś wracaj do domu, późno już — rzekła, podnosząc się z ławy.

Najpierw poprosiła Rozalię, żeby znalazła jakieś ciepłe ubranie oraz buty po Ignacym i żeby odiała Jędrka, a następnie sama przeszła do oficyny, gdzie pan Jurewicz zajmował dwuizbowe mieszkanie.

Po powstaniu przez dwa lata szkoła dla włościan była zamknięta. Dopiero niedawno władze carskie zezwoliły na nauczanie, ale w języku rosyjskim. Wyznaczony inspektor regularnie wizytował Zielną i sprawdzał, jaką to wiedzę przekazuje nauczyciel, czy aby nie poi młodych umysłów antycarską propagandą, polskimi pieśniami i łacińskim alfabetem. Los pana Jurewicza nie leżał już w rękach dziedziczki Łempickiej, a jego ekscelencji inspektora. Wiktorcia przeklinała rosyjskie porządki, na początku buntowała się, aż wreszcie uznała, że taka edukacja dla wiejskich dzieci jest lepsza niż żadna.

— Dobry wieczór pani — przywitał ją nauczyciel, gestem zachęcając, by weszła do środka, ale ona zatrzymała się w progu.

— Nie będę panu przeszkadzała. Chciałam tylko zapytać, czy to prawda, że miał do pana przyjść chłopak od Kardisów.

— Jędrək? Tak... miałem mu książkę pokazać, ale się nie pojawił.

— Jutro do pana przyjdzie, dziś... Ja go zatrzymałam. Proszę mi coś o nim opowiedzieć.

Pan Jurewicz wsparł się na lasce, jego delikatna, łagodna twarz rozpozodziła się.

— To wyjątkowy chłopiec, mój najlepszy uczeń. Ładnie czyta i pisze. Jest bardzo bystry, dociekliwy i pilny, tylko tam chyba u niego w domu nie za dobrze.

— Co to znaczy?

— Dwukrotnie dostał ode mnie buty, ale nosi ciągle jakieś gałgany. Gdy go o to pytam, mówi, że stryjna mu zabrała, żeby nie zniszczył, ale... — Skrzywił się, pocierając dłonią kark. — Ta Kardisowa to nie jest dla niego dobra. Raz byłem tam u nich i...

— Biednie mają?

— Biednie, ale jak mają mieć, kiedy ona ciągle pijana chodzi. — Zrobił krótką pauzę, by zaczerpnąć tchu. — I tłucze tego chłopca. Jędrək się nie skarży, ale nieraz przychodził z podbitym okiem albo siniakami na szyi i rękach.

— O Boże, a więc to tak się sprawy mają...

— Niestety. Zwróciłem tej Kardisowej uwagę, ale okrzykla mnie i powiedziała, żebym się nie wtrącał, że dzieci ćwiczy się kijem i że Jędrək nie jest wcale synem brata jej zmarłego męża, tylko czarcichy.

— Czarcichy?

— Takiej poczwary, która ludzkie dzieci porywa, a w zamian zostawia swoje. Kardisowa z pełnym przekonaniem

tłumaczyła mi, że bije Jędrka w dobrej wierze, żeby jego prawdziwa matka usłyszała, jak to ona powiedziała — „darcie”, i zabrała go do siebie.

— Co za podłość!

— To samo rzekłem, a ona na to, że podłość, to jakby go wysmagała kijem na kupie gnoju, gdzie jego miejsce.

— Szkoda, że mi pan tego nie powiedział wcześniej, można było jakoś zaradzić.

— Kiedy Jędrak tak mnie prosił, żebym nikomu nie mówił.

— Pewnie się wstydził.

— Być może. Albo się bał. Ma tylko stryjnę. To jego jedyna rodzina, rozumie pani.

Wiktoria pokiwała powoli głową.

— Rozumiem. I dziękuję, że pan mi to powiedział.

Wróciła do dworu, a tam w holu przy drzwiach czekał na nią Jędrak pod opieką Rozalii. Jasne włosy tym razem skrywała czapka z baraniego futra. Palto było na chłopca nieco za duże, ale jemu to chyba nie przeszkadzało, bo uśmiechał się radośnie. Kiedy stróż Michejko ciągnął go przed oblicze wielmożnej pani, był pewien, że oto nadeszła jego ostatnia godzina i tylko żal mu było, że nie zobaczy książki pana nauczyciela, że już nigdy nie zobaczy żadnej książki.

Wiktoria nie zdjęła futra, tylko skinęła na Jędrka.

— Chodź ze mną, odwiozę cię do domu.

Chłopcu dech zaparło. Miewał nieraz śmiałe marzenia, ale takich cudów to nie doświadczał nawet w snach. Kiedy przed ganek zajechały sanie, patrzył strwożony — czy to się w istocie dzieje? W głowie mu się zakręciło, jak niegdyś, gdy z głodu omdlał na klepisko. W czasie drogi dziedziczka wciąż go o coś pytała, ale on nie słyszał,

odurzony osobliwym szczęściem, którego dotąd nie znał. Jechał sobie niby pan, odziany pięknie, u boku jaśnie pani — dobrej jak anioł z kościoła. I jeszcze mu mufkę dała, żeby ręce schował. Zdało mu się, że dotyka kotka, którego kiedyś przygarnął. Nie istniał mróz, głód i strach. Czy tak wygląda raj? — zastanawiał się, bo z tej radości to aż płakać mu się chciało.

A to się stryjna zdziwi, gdy go zobaczy. Pewno ucieszy się, że tyle dobra na sobie przyniósł. Będzie miała co sprzedać, to może i lepsza dla niego będzie, może bić przestanie?

Sądził, że pani dziedziczka wyrzuci go z sań we wsi i odjedzie do swego pięknego świata, ale nie!

— Pójdę z tobą — orzekła, po czym pochyliła nisko głowę, aby przejść przez próg chaty, która przywalona śniegiem wyglądała jak rozplaszczony stóg siana.

— A gdzie ty, diable, badziasz się po nocy, co? Czekaj no, niechaj ja tylko... — usłyszała Wiktoria wściekły ryk.

Nie wiedziała, skąd dochodził, gdyż w izbie panował półmrok. Dogasała smolna szczapa, której światło tylko w niewielkim stopniu pozwalało dojrzeć wewnątrz. Było przeraźliwie zimno, bo przez nieuszczelnione gliną szpary między belkami wpadało lodowate wietrzyisko, ale nawet ono nie rozgoniło odoru wódki, dymu i odchodów. Piec, wzniesiony z kamienia, dusił się ostatnimi iskrami, na próżno błagając o ogień. Nikt go od dawna nie biał wapnem, więc straszyl tłustym, czerniałym brudem. W rogu izby siedziały na wilgotnej słomie kury i gęsi.

Wiktoria zrobiła kilka kroków do przodu, zakrywając twarz chusteczką, i odgarnęła sprzed oczu jakieś szmaty wiszące na żerdzi.